ŁOWIEC POLSKI

ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 10 (379) **Warszawa, dn. 1 października 1924 r.** **Rok XVII**

KOMITET REDAKCYJNY: pp. Janusz Domaniewski, Walenty Garczyński, Herman Knothe, Stanisław Lilpop, Jan hr. Morstin, Feliks. Rożyński, A. hr. Rzewuski, Władysław Słonczyński, Wacław Szperling, Kazimierz Swiderski, Jan Sztolcman.

Józef Brandt: „ODYNIEC".

(Własność Warszawskiego Klubu Myśliwskiego).

TREŚĆ № 10.

Z Centr. Związku P. Stow. Łow. — Zmiana podatku od polowania. — J. hr. Morstin. Myśliwy, strzelec kłusowtik. — Al. margr. Wielopolski. Pogadanki o myślistwie, łowiectwie — i polowaniu. — Komierowski. Notatki myśliwskie.— B. Świętorzecki. Głuszec.— A. Sander. De lege ferenda. — Myśliwy w Paranie. St. Rószkiewicz. Ciągi słonek. — J. Domaniewski. Przegląd literatury.— Nowe książki. — Kalendarz Myśl. — Strzelnica. — Wystawa psów. — Tereny łowieckie. — Odpowiedzi Redakcji. — Drobiazgi myśliwskie.

W odcinku: St. Krzyżanowski: Ze strzelbą na tułaczce. — Stanli: Obrazki myśliwskie Ill. — Ilustracja: Odyniec — Brandta

Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich.

W dniu 16. września, stosownie do zapowiedzi w poprzednim numerze naszego pisma, zebrali się pp. członkowie Zarządu głównego, którzy mieli po raz pierwszy powitać przedstawicieli Wielkopolski. Okazało się jednak, że 1) p. Paruszewski odmówił przyjęcia mandatu, ponieważ jako urzędnik nie może jeździć do Warszawy, 2) p. Janta-Połczyński przyjął mandat jedynie pro honoris causa, zaznaczając, że nie będzie brał udziału w zebraniach; 3) gen. Unrug był wezwany tego dnia na świadka do sądu, 4) p. Franc. Unrug był w podróży poślubnej, 5) hr. Chłapowski przyjął mandat, ale nie przybył na zebranie. Wobec tego na wniosek p. Lilpopa postanowiono odroczyć właściwe zebranie na inny termin, a dzisiejsze uważać tylko za posiedzenie Wydziału Wykonawczego z zaproszonymi jako goście obecnymi członkami zarządu. O powyższem zawiadomi się oficjalnie przedstawicieli Wielkopolski.

Na zebraniu tem pod przewodnictwem pana Juljusza hr. Bielskiego przyjęto w poczet członków Związku Stowarzyszenia: 1) urzędników Zarządu Stadnin państwowych, 2) w Końskich, 3) w Łęczycy i 4) w Mławie.

W sprawie stowarzyszeń w Małopolsce potwierdzono uchwalony dawniej usus zwracania się do Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we Lwowie przed przyjęciem takich kandydatów o opinję. Pozatem uchwalono zwrócić się do tegoż Towarzystwa z prośbą w imieniu Związku o rozpoczęcie propagandy, aby stowarzyszenia już należące do M.T.Ł., zapisywały się również do Związku Centralnego.

Na wniosek d-ra Alfreda Sandera, aby związek starał się o ulgi w opłacaniu podatków od broni i psów, p. Lilpop komunikuje o krokach już przedsięwziętych w tym kierunku.

Sprawę wzoru kontraktów dzierżawy referował p. Lilpop, dochodząc do wniosku, że jednego wzoru generalnego niepodobna ułożyć. Można tylko w przybliżeniu ustanowić wskazówki ogólne dla sporządzania umów na dzierżawy polowań. Postanowiono wydrukować w „Łowcu Polskim" odpowiedni szemat opracowany przez p. Lilpopa.

Przyjęto wniosek d-ra Sandera zalecający nawiązanie kontaktu z Państwową Komisją Ochrony przyrody. W sprawie wniosku hr. Bielskiego co do broni amerykańskiej Colta, p. Lilpop obiecał dostarczyć danych na następnem zebraniu.

Zmiana podatku od polowania.

W uzupełnieniu informacji podanej w poprzednim numerze, ze względu na wagę przedmiotu przytaczamy dosłowne brzmienie rozporządzenia dotyczącego tej zmiany.

W numerze 78 „Dziennika Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej" z d. 4 września r. b. zamieszczono pod pozycją 759 następujące:

„Rozporządzenie Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 4 sierpnia 1924 r. wydane w porozumieniu z Ministrem Skarbu i Ministrem Rolnictwa i Dóbr Państwowych w sprawie określenia wysokości najwyższych norm podatku od wykonywania prawa polowania.

Na podstawie ustępu 2 art. 19 ustawy z dnia 11 sierpnia 1923 r. o tymczasowem uregulowaniu finansów komunalnych (Dz. U. R. P. Nr. 94 poz. 747) zarządza się co następuje:

§ 1. Oznaczoną w § 13 rozporządzenia II Ministra Spraw Wewnętrznych z dn. 18 marca 1924 r. (Dz. U. R. P. Nr. 31 poz. 317) maksymalną wysokość norm podatku

STANISŁAW KRZYŻANOWSKI.

Ze strzelbą na tułaczce w Rosji carskiej, Kiereńskiego i bolszewickiej.

(Opowiadanie myśliwskie).

Rok 1914. — Czy dobrze być zającem? — Z powodzią. — Lublin. — Stamtąd konno do Słucka. — Bobrujsk i jego okolice. — Polowanie w Berezówce. — Nieco o Mińsku, Smoleńsku, Moskwie i Niżnim. — Karabiny wojskowe, broń myśliwska i kanardjera zastosowana do wojny. — Orsza. — Nieudana wyprawa na wilki. — Nieco o myślistwie w Rosji. — Czerwony sztandar powiewa. — Czasy Kiereńskiego. — Dyktatura czerni i jej stosunek do myślistwa. — Czy wylecimy w powietrze, czy nie? — „Gut Morgen, Kameraden". Z Orszy do Końskich. — Okupacja Austrjacka. — Przez tereny Oberostu do Orszy po broń. — Bóg ocalił. — Z 24-ma strzelbami i 2-ma sztucerami przez granicę bolszewicką i Oberost. — O mały włos nie rozstrzelany. — „Das ist Feld-bett, Her Major". — Porządny Czech w Kowlu. — Piorunem via Lublin do Końskich i do domu.

A więc to nie sen.., nie wizja gorączkowa. Piszę znów do „Łowca Polskiego". Czołem Wam, Szanowni Czytelnicy, czołem. Po 4-roletniej tułaczce, wróciłem z barbarzyńskiej Rosji jak na polaka i myśliwego przystało, przywożąc 6 strzelb i rewolwer, idąc z bronią w ręku przez piekiełko bolszewickie, niemieckie i bezład austjacki.... Nie dałem mej ukochanej broni ani opryszkom niemieckim, ani „towarzyszom" rosyjskim; wolałem tysiąc razy narazić życie, a wrócić z bronią w ręku, bo żołnierz oddaje broń, ale razem z życiem. Życie ocalił mi Dobry Bóg...a ja ocaliłem broń....

Gdybym chciał opisywać wszystko, na co patrzyłem przez te okropne 4 lata, tomy całe trzebaby pisać. Przeczytacie to zapewne, Szanowni Czytelnicy, w powieści mej „Szlakiem burzy dziejowej", obecnie zaś piszę tylko krótkie opowiadanie myśliwskie, dorywczy szkic i to ze stanowiska myśliwskiego.

* * *

Wybuch wojny europejskiej zastał mnie w Gowarczowie, osadzie ziemi Radomskiej, w charakterze właściciela apteki. Powiem nawet, że aczkolwiek w porę mi przyszedł, bo właśnie miałem dość ciężki kłopot: groziła mi deportacja do Rosji za umieszczenie na szyldzie aptecznym polskiego Orła Białego nieznacznie w herbie b. państwa Rosyjskiego. Z jaką gorliwością gubernator radomski, a zwłaszcza naczelnik powiatu zwrócili się do mnie, ile razy robiono mi przeróżne szykany, straszono karami, to przechodzi wszelkie pojęcie. Skończyło się wreszcie na pieniężnej, dość znacznej karze i na uznaniu mnie raz na zawsze „nieblogonadiożnym". Najwięcej dało mi się we znaki chowanie broni nieoznaczonej w bilecie za każdym przyjazdem różnych rządowych funkcjonarjuszów. To też z prawdziwą radością zobaczyłem niezwykły widok, gdy w kilkanaście dni po wybuchu wojny nagle szosa zadymiła kurzem: to strażnicza hołota z całego powiatu, rzucając po drodze fury z babami, dziećmi i graty, wiała na Radom.

—Dawaj padwodu — wrzasnął na gapę mieszczanina

od wykonywania prawa polowania obniża się poza obszarem gmin miejskich:

w I strefie do 20 gr. z 1 ha
„ II „ „ 10 „ „
„ III „ „ 5 „ „
„ IV „ „ 1/8 „ „

§ 2. Podatki od wykonywania prawa polowania wymierzone przed dniem wejścia w życie niniejszego rozporządzenia na podstawie rozporządzenia II Ministra Spraw Wewnętrznych z dn. 18 marca r. b. nie podlegają zwrotowi, ani też zaliczeniu na poczet innych podatków.

§ 3. Rozporządzenie niniejsze wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.

Minister Spraw Wewnętrznych: Z. Hübner. Minister Skarbu: W. Grabski, Kierownik Ministerstwa Rolnictwa i Dóbr Państwowych: Raczyński".

Zwracamy uwagę, że w poprzednim numerze wskutek omyłki drukarskiej podaliśmy, że dla strefy IV podatek wynosi pięć ósmych, gdy faktycznie wynosi on tylko jedną ósmą.

JAN Hr. MORSTIN.

Myśliwy—Strzelec—Kłusownik.

(C. d.)

W rozłożystym krzaku łopuchu, przy ścieżce wiodącej do kurnika, czatuje na srogiego zwierza dziewięcioletni myśliwy... Słyszał, jak gospodyni mówiła do służącego Marcina, że „ćchórz" drób jej wybiera i że trzeba go zgładzić, ale Marcin ręką tylko machnął i oświadczył, że nie ma, czasu o takich głupstwach myśleć. Marcin jest stary i wszystko nazywa głupstwem, a kto wie nawet, czy się tego „ćchórza" nie boi trochę. Rabuś musi być zabity, i dokona tego on, Władek, godny naśladowca walecznych wodzów czerwonoskórych z powieści Jules Verne'a. Ale na „prawdziwe" łowy trzeba mieć broń odpowiednią. Kusza (*) strzela wprawdzie celnie i ostro, lecz zwykły patyk, jak tatuś mówił, nawet myszy nie zabije. Więc w największym sekrecie fabrykuje się pocisk straszny - grot zakończony długim gwoździem i zatruty w braku „kurary" esencją octową.

Rozpoczęły się czaty, zrazu bezowocne, aż wreszcie czwartego dnia Władek ujrzał swą zdobycz. O kilka kroków od zasadzki wysunęła się z zarośli, śpiczasta mordka z chytremi ślepiami. Już miał strzelać, już dotykał cyngla, gdy nieostrożnym ruchem zawadził o łodygę liścia i cel tak blizki, tak upragniony, zniknął mu błyskawicznie z oczu.

Tego wieczoru Władek prawie nie tknął kolacji, a na pytania, co mu się stało, milczał, zacisnąwszy kurczowo usta, by się nie rozełkać „jak baba". Nadomiar złego szereg słotnych dni uniemożliwiał dalsze próby. Lecz w pierwszy pogodny wieczór, wcześniej niż zwykle, liście łopuchu kryły pod sobą leżącą nieruchomo, skamieniałą w oczekiwaniu, drobną postać chłopięcą.

Tym razem nie napróżno. Zaledwie szkodnik, ośmielony zupełną ciszą, ukazał się na ścieżce, warknęła głucho cięciwa kuszy i dobrze wymierzony grot przeszył go na wylot.

Władek klęczał przy drgającym w przedśmiertnych kurczach drapieżniku i oczom swym nie wierzył. Nie śmiał wierzyć. Wrażenia tryumfu, dumy, nieopisanej radości, zdziwienia, a przytem pewnego lęku przed doniosłością danej chwili, przed faktem nieznanym mu dotąd, obecnie zaś dokonanym i realnym, mąciły mu myśli. Nie wiedział, kiedy i jak strzelił, choć zdawało mu się, że mierzy spokojnie, jak do celu, jak do zabawki. A jednak to, co się stało, przewyższyło wszelkie jego oczekiwania. Zabił... Chciało mu się krzyczeć z ra-

---

*) Starodawna broń, będąca ulepszeniem łuku, osadzonego na kolbie. Obecnie, wyrabiana w małych rozmiarach, służy jako zabawka dla dzieci.—

---

jakiś pijanica-strażnik tuż przed oknem i rewolwer mu do łba przystawił. Odruchowo w tej chwili włożyłem ładunek do sztuceru, myśląc o tem, że jak mu w łeb palnie, to ja palnę w pijanicę, a później wrzasnę, że niemcy idą. Lecz na szczęście obyło się bez wypadku, chłop wyprowadził szkapę z wozem, poleciał nibyto po bat i tyle go strażnicy widzieli. C.o prawda, nie on jeden pożegnał się wówczas z koniem i wozem.

Wystraszona hołota pognała dalej, za nimi zaś jakaś stara, dworska landara uwiozła „naczelników". Za wszystkie szykany, podwody, różne „gminne nakazy" był to zasłużony odwet i miły sercu widok. Ciemiężcy uciekali. Nadchodził wprawdzie wróg nowy, ale ten wróg szedł z zachodu; polska wojny z nikim nie prowadziła i mogła i miała prawo spodziewać się przynajmniej ścisłej neutralności. Tak myśleliśmy wszyscy. Niestety! Ta sama niemiecka falanga, która zrujnowała Kalisz, wpadła, jak huragan: przyszedł nowy ciemiężca, taki sam, tylko mówiący innym językiem. Znając poprzednio niemców jako ludzi spokojnych, dobrych i praktycznych myśliwych, zdumiałem się, widząc prawie samych rabusiów. Zwłaszcza idjotyczne nakazy, dotyczące konfiskaty broni myśliwskiej, doprowadzały mnie do szewskiej pasji i co gorsza, wszyscy bez wyjątku znosili na „ofiarę" broń za pierwszym „rozkazem" pierwszego lepszego lejtenanta. Poczekajcie szanowni goście, pomyślałem wtedy, nie powąchacie mej broni, bom ja stary myśliwy ze szkoły Wacka nad Wackami i Witowskiego. Więc zapakowawszy broń w dwie skrzynki i nawasenowawszy ją odpowiednio, zakopałem to wszystko w sąsiednim majątku poczciwego p. L., któremu do śmierci tej przyjacielskiej przysługi nie zapomnę. Był to, jak dla mnie, prawdziwy pogrzeb: w końcu sierpnia zakopywać w nocy ulubioną broń i przez pół roku myśleć, czy aby nie zardzewieje. Zostawiłem tylko, właściwie nie wiem dla czego, sztucer winchester, który też najniepotrzebniej zrabowali mi niemcy. Powetowałem to sobie rok później, odbierając niemieckiemu oficerowi doskonały karabinek Mausera. Prosił mnie, żeby mu go zostawić, ale odpowiedziałem mu po niemiecku, że tak samo ja prosiłem niemca, by mi sztucera i roweru nie odbierał, na co tamten odpowiedział mi tylko obelgą. Wogóle postępowanie przeciągających wojsk, tak niemieckich jak i rosyjskich było pod zdechłym Medorem. W paru tylko wypadkach miałem kilku sympatycznych „gości" niemców i rosjan, reszta zaś zachowywała się arogancko, traktując ludność cywilną mniej więcej tak, jak my myśliwi traktujemy zające.

Że zaś niema pod słońcem gorszego położenia, jak zostać zającem, więc i mnie ostatecznie sprzykrzyła się pozycja zajęcza i postanowiłem włożyć jakikolwiek mundur i ze zwierzyny łownej stać się znowu myśliwym. Na kogo „polować" było mi to obojętnem, bo prawdę rzekłszy, my Polacy byliśmy mniej więcej w położeniu owych woźniców żydowskich, których właściciele się pobili. „Bijesz ty mojego żyda, ja będę bił twojego"— pomyślałem i pewnego ranka z 2-m lazaretem 47-ej dywizji rosyjskiej w uniformie aptekarza wojskowego mniej więcej w „randze" kapitana opuściłem Gowarczów, pozostawiając wszystko na los szczęścia. Był to czyn, logicznie myśląc, szalony: rzucić własną aptekę i zagospodarowany dom, ale nie mogłem dłużej być zającem. Owo polowanie „w kotła", jakie sobie rosjanie i niemcy wyprawiali, biorąc w ogień nieraz Gowarczów z okolicznemi wsiami, byłbym jeszcze przetrzymał, ale szykany pruskie, upatrywanie w każdym cywilnym szpiega i.t.d., doprowadziły mnie do rozpaczy. Machnąłem więc ręką i oglądając się z konia na moją polową aptekę, czy dwu-kołowe wózki idą równo, wyjechałem. c.d.n.

dości, biedz do ojca, by pochwalić się swym łupem, a jednocześnie czuł lęk, który go do miejsca przykuwał.

Co ojciec powie? Czy go pochwali i podzieli z nim ten pierwszy tryumf, czy skarci go za samowolę i może—kuszę odbierze?

To byłoby najgorsze. Władek poczuł, że wszystkie dotychczasowe jego rozrywki i zabawy były niczem, w porównaniu z rozkoszą prawdziwego polowania, że od tej chwili jawnie, czy skrycie polować musi i będzie. Nie bacząc na przykry zapach tchórza, głaskał go i tulił do siebie, szepcąc drżącemi wargami słowa zachwytu i dziękczynienia za to, że wyszedł, że nie uciekł, jak wtedy przy pierwszem spotkaniu, że dał mu się zdobyć nareszcie!

I nie pomny skutków, nie mogąc dłużej ukryć w sobie oszałamiającej go radości, pobiegł ze swą zdobyczą pod pachą prosto do kredensu, do Marcina. Ale zamiast należnego uznania dla bohatera, stary ofuknął go nielitościwie, oburzony, że można było wziąć do ręki „takie paskudztwo, co cały dom zasmrodzi“... To już była prawdziwa bezczelność! Na szczęście dla Marcina w tej samej chwili wszedł do pokoju ojciec i spostrzegłszy tchórza, kazał go sobie bliżej pokazać. Cała historja natychmiast wyszła na jaw. Dość było spojrzeć na zalaną rumieńcem twarz chłopca, by domyśleć się, że to jego sprawka, jego pierwsza zdobycz łowiecka.

Zrozumiał to stary myśliwy, objął syna ramieniem, do piersi przycisnął i rzekł: „Zuch jesteś, chodźże, opowiedz mi, jak się to stało.“

Władek uczuł się bezgranicznie szczęśliwym. Urywanemi słowy, żywo gestykulując, odsłonił przed ojcem historję ostatnich dni: uporczywe czaty, niepowodzenie i rozpacz serdeczną, i wreszcie dzisiejszą czarowną chwilę - swój celny strzał z kuszy. Wyznał wszystko; opowiedział, jak w największej tajemnicy sporządził ostry pocisk, zamiast dozwolonych, zwyczajnych patyków, jak go codziennie ukrywał w łopuchu w obawie, by go ktoś nie odnalazł i nie skonfiskował przedwcześnie.

A ojciec uśmiechał się, gładził płową czuprynę i pochyliwszy się ku niej, mówił: „Widzę, łobuzie jeden, żeś się do polowania nie na żarty zapalił. To dobrze. Postaram się zrobić z ciebie prawdziwego myśliwego i niedługo, jak wyrośniesz trochę, kupię ci strzelbę. Ale musisz mi przyrzec, że do tego czasu nie będziesz urządzał takich figlów, jak dzisiaj. Twoja kusza - to zabawka, i strzelać z niej możesz tylko do zabawek. Tchórza zabiłeś, boś strzelił na pięć kroków, ale taka gratka nie prędko się powtórzy. A zresztą, zanim zaczniesz polować, musisz poznać zwierzynę i przypatrzeć się jej bez strzelby, bez chęci zabicia. Nie martw się, jeszcze się dość w życiu nastrzelasz, a tymczasem będziesz chodzić ze mną albo z Józefem i zaręczam ci, że to będzie największą twoją przyjemnością. A gdy przyjdzie czas, zaczniemy Władku, strzelać z porządnej broni, a nie jakiemiś tam gontowymi gwoździami!“

Władek stał z głową spuszczoną i milczał. Chwila otrzymania prawdziwej strzelby, którą mu ojciec kupić obiecał i która odtąd będzie największem jego marzeniem, nieprędko jeszcze nastąpi. Dlaczego każą mu czekać tak długo? Dlaczego uważają go zawsze za małe dziecko, choć dał dowód, że umie już polować, i z kuszy strzela tak dobrze?- Ale wiedział, że ojciec nie ustąpi, że trzeba poddać się z rezygnacją jego woli, a przytem pocieszała go znacznie obietnica wspólnych polowań, których wreszcie będzie świadkiem.

Czyn dzisiejszy nie poszedł na marne. Dotąd słyszał tylko, jak starsi panowie między sobą rozmawiali o polowaniu, a teraz ojciec jemu to wszystko opowie, pokaże, nauczy. Więc uśmiechnął się przez łzy, starł je gwałtownie rękawem i już ochoczo, z zapałem i z niecierpliwością pytał: „A kiedy pójdziemy, tatusiu? — Jutro, dobrze? Koniecznie już jutro!“

I nazajutrz poszli. Ojciec ze strzelbą, Władek z torbą z nabojami i parą troków rzemiennych—obydwaj weseli, radośni, złączeni wspólną namiętnością, starą, jak ludzkość, i tak potężną, że życie wypełnić, opromienić i wszelkie troski złagodzić jest zdolną.

Poszli do poręby, na młode cietrzewie. Słońce prażyło nieznośnie. W kulturach sosnowych i we wrzosach pomknęło tylko kilka zajęcy, do których ojciec nie strzelał a „Mars“ ignorował zupełnie. Ale Władek nie tracił nadziei. Spocony do nitki, zapatrzony w psa, poprawiał sobie torbę, której rzemień dotkliwie wpijał mu się w ramię, i szedł dzielnie dalej, jak na myśliwego przystało. A gdy wreszcie zerwało się stadko cietrzewi i jeden z nich, błysnąwszy białem skrzydłem, spadł za krzakiem olszyny, Władek w kilku susach, niemal równocześnie z „Marsem“ dopadł doń i z entuzjazmem w oczach „przyaportował“ go ojcu. Dowiedział się też, dlaczego do innych burych cietrzewi (do kur) się nie strzela, choć tak blizko się podrywały, i że całkiem czarny kogut (najładniejszy ze wszystkich) jedynie dlatego ocalał, że zerwał się poza granicą możliwego strzału.

— Pamiętaj — mówił ojciec — że dobry myśliwy powinien panować nad sobą i nie pozwalać sobie na zbyt dalekie strzały, które najczęściej tylko kaleczą i marnują zwierzynę. Stokroć więcej niż pudła, trzeba się wstydzić takiej lekkomyślności.

Jednego „murzynka“ i trzy kuropatwy przyniósł Władek na trokach do domu. Niósł je z dumą, z pietyzmem, chroniąc od gałęzi, gdy przechodził przez gęste zarośla, dbając, by żadne piórko nie zmięło się i nie wypadło. Równocześnie słuchał skwapliwie opowiadania ojca o ich życiu, obyczajach i rodzajach polowań, a gdy przyszła kolej na opis toków wiosennych i obserwowania z budki walczących zapaśników—Władek aż się rumienił z zachwytu. Toteż wieczorem, kiedy stary Marcin, zdziwiony niezwykłym hałasem, wszedł do jego pokoju, zobaczył następującą scenę:- na oświetlonej księżycem podłodze, boso w jednej koszuli, zgięty w pałąk, Władek „tokował“ w najlepsze, starając się naśladować bulgotanie i czuszykanie cietrzewia, które dziś z ust ojca usłyszał. Zaś na perswazje nie na żarty zaniepokojonego służącego, który starał się wpędzić do łóżka zapamiętałego gracza, Władek odezwał się z miną urażonego artysty:

— Eh, bo Marcin to się wcale nie zna na polowaniu, zamiast mi przeszkadzać, lepiej by się Marcin przysłuchał, jak stary kogut na wiosnę tokuje!

(c. d. n.)

ALEKSANDER margr. WIELOPOLSKI.

Pogadanki o myślistwie, łowiectwie i polowaniu.

c. d.

Za zabicie dzika lub kozła, oczywiście kulą, zamiast dębu podaje się gałązkę świerczyny. Gałązki te zatyka się za kapelusz, lub w zimie — za brzeg futrzanej czapki. Strój myśliwego powinien być skromny, mało widoczny, tak, żeby nie raził zwierzyny, ani towarzyszy. Unikać zwłaszcza należy zbyt ciemnych kolorów na śniegu. Błyszczące od nowości skóry, torby i ładownice wywołują pogardliwy uśmiech starych myśliwych; dobrze jest zatem nowe sprawunki w domu w wodzie gorącej wygotować, a następnie mydłem wyszorować. „Kapelusik“ można ubrać piórkiem lub szczotką z dzika, czy kozicy, ale niechaj te ozdoby będą własnego strzelania, a nie nabyte na Grabenie w Wiedniu.

Do środków pomocniczych należą sieci i sznury (lapy), do nich jednak powrócę przy omawianiu sposobów polowania, jak również co do psów myśliwskich.

Zasadniczymi zaś środkami pomocniczymi w myślistwie, na których istnienie zwierzyny oraz rozwój zwierzostanów jest oparty są: hodowla, ochrona i żywienie zwierzyny. Bez tych zasadniczych czynników zwierzostan ogólnie w danej okolicy, a nawet w danym kraju upaść musi, a pozostaną gdzieniegdzie zwyrodniałe zwierzostany, a i te niezadługo istnieć przestaną. O tych niezbitych zasadach powinni wiedzieć pp. Ministrowie, którzy się powołują na gusta swych wyborców, mówiąc: „że i chłopek zająca jeść lubi“, bo gdybyśmy tym

zasadom hołdować chcieli, i tenże chłopek wkrótce byłby pozbawiony zająca, którego nietylko wedle słów Pana Ministra, ale też z doświadczenia naszego i naszej straży „jeść lubi" — a także i sprzedać w miasteczku lub zanieść „dobrodziejowi".

Zasady hodowli zwierzyny i sposoby jej żywienia w podręcznikach hr. Silvy Tarouki i Jana Sztolcmana są ujęte tak szczegółowo, jasno i właściwie że byłoby poczynaniem zupełnie niemającem szansy, chcieć ich w tym względzie prześcignąć. Jeżeli zatem ta moja skromna praca ma jakikolwiek pożytek przynieść myślistwu i poszczególnym myśliwym, bez żadnego powątpiewania pożytek ten osiągnie, jeżeli rada moja wystudjowania tych dwuch podręczników oraz monografji Wiktora Stephana i stosowania się do ich zasad i wskazówek zostanie wysłuchaną; ja zaś czuję się jedynie na siłach pod innymi kątami niektóre zagadnienia wyświetlić i dać odpowiedź na pytania mające tylko związek z pracami Tarouki i Sztolcmana, a przez nich nieporuszane lub nierozstrzygnięte.

ZWIERZYNA.

Zadaniem mojem będzie w tym rozdziale kolejno osądzić poszczególne gatunki zwierzyny krajowej z punktu widzenia jej użyteczności dla naszego myślistwa.

JELEŃ I SARNA.

Między zwierzyną, w kraju naszym w pełni zaaklimatyzowaną na pierwszem miejscu bez wahania należy postawić jelenia i uznać go za najwspanialszą zwierzynę naszych ostoi. Pierwsze jednak zdanie, które o jeleniu wypowiedzieć muszę, jest bardzo smutne, a mianowicie, że zwierzyna ta nie dla nas. Wisła stanowi właściwą granicę zamieszkania jeleni. gdyż po prawym jej brzegu właściwe ostoje jelenie nie istnieją i choć i w nich bywają jelenie, nie są one, że się tak wyrażę, już u siebie*).

Rzeczy piękne i niepowszednie częstokroć odznaczają się tem, że są też bardzo kosztowne, i do tego rzędu niestety należą jelenie. Wzmiankowałem poprzednio, że polowanie na jelenie w Karpatach dostępnymi środkami utrzymać można. Zwierzyna tam nie wymaga sztucznego żywienia, i choćby ją nawet chcieć otaczać staranną opieką, która koszta za sobą pociąga, warunki miejscowe stanęłyby takiemu zamierzeniu na przeszkodzie. Choć zwierzostan jeleni w Karpatach od początku wojny znacznie się zmniejszył, można mieć nadzieję, że bez wielkich nawet starań, a jedynie pewną wstrzemięźliwością, której zresztą pomagają trudne, miejscowe warunki spotkania da się wydatnie bez wielkich nakładów podnieść. Inaczej się rzeczy mają w innych częściach Polski, gdzie się z jeleniami spotykamy. Wychodząc z założenia, że jedynie o taką zwierzynę dbać warto, hodować ją i ochraniać, na którą możemy mieć polowanie w prawdziwym tego słowa znaczeniu, pierwszem pytaniem, na które winniśmy sobie odpowiedzieć, będzie, czy możemy dany gatunek zwierzyny hodować w dostatecznej ilości i w odpowiednim do wymagań łowieckich gatunku? Nie mogę nazwać polowaniem na jelenie, jeżeli ktoś w swoim rewirze zabije przygodnie corocznie kilka przechodnich jeleni, bez wyboru do czego strzela, lub z kilkudziesięciu stałych sztuk, które nawet własne mieć mogą rykowisko, marnego zazwyczaj upoluje byka, choćby ten miał nawet 14 gałęzi na wieńcu, ale wieńce jakby z drzewa.

(D. c. n.)

*) Mniemanie to właściwie zastosować można jedynie do byłej Kongresówki, gdyż w Małopolsce oraz w Prusach Wschodnich jelenie znajdują się na wschód od Wisły w swych naturalnych ostojach. (Przyp. Red.).

KONSTANTY KOMIEROWSKI.

Notatki Myśliwskie.

Na Krymie.

„Hej! lasy i niwy
Ozwijcie się w chór!...
Zatrąbił myśliwy,
Król lasów i gór.
(*A. Mickiewicz*).

Dziwną losów koleją przeniesiony z mazowieckiej równiny na Krym, a zatrzymany tam następnie straszną wojną europejską, miałem sposobność doznania różnych nowych wrażeń, niedostępnych dla wielu naszych myśliwych. Chcąc zaś, by wypadki, które mi niejedną uprzyjemniły chwilę, doszły uszu równie jak ja, zapalonych nemrodów, sprobuję streścić je tutaj możliwie dokładnie.

Nim jednak przystąpię do właściwej sprawy, nie od rzeczy będzie zaznajomić czytelnika z warunkami

Obrazki myśliwskie.

III. KUROPATWY

(Dokończenie) *)

Podczas innych rannych wypraw, po znalezieniu stadka, i skonstatowaniu ilości młódek - podrzucałem kuropatewek tyle, żeby ogół nie przenosił razem 35 do 40 sztuk, i najczęściej szedłem dalej, pozostawiając stadko własnemu losowi. Raz jeden znalazłem przy stadku trzy starki: kurę i dwa koguty, a że piskląt było tylko sześć, dorzuciłem im trzydzieści!

W ten sposób ulokowałem z moimi ludźmi około 150-ciu kuropatewek. Że rezultat był dobry, przekonałem się we wrześniu, spotykając w znanych mi miejscach ogromne stada, o wiele liczniejsze od normalnych.—

Z pozostałych jaj wylęgło się w bażantarniach około 600 sztuk — wychowało — nie więcej jak 300.—

Kuropatwy te długi czas trzymały się po zaroślach przy wylęgarni, później powyciekały w przyległe pola. Były jednak na wpół oswojone, trzymały się w jednem stadzie i zrywać się nie chciały. Na Starej — Wsi obok Stefanki, spotkałem je w gromadzie około siedmdziesięciu sztuk. Wyciekały bez końca. Zniecierpliwiony, pobiegłem kłusa, żeby je spłoszyć. Zerwały się, ale o 100 kroków znów zapadły.

Takie kuropatwy lepiej jest wystrzelać, bo zimy nie przetrzymają i są zbyt łatwą zdobyczą dla wszelkich drapieżników.

Dziś dla sztucznego chowu kuropatw znany jest sposób łatwiejszy, o wiele prostszy i niezawodny. Należy mieć tylko pomieszczenie (najlepiej woljerę), dla przezimowania kogutów kuropatwich, w które zaopatrzyć się trzeba. Koguty te na jajach siedzieć nie będą, ale młode adoptują. Jak tylko kuropatewki wylęgną się w domu, czy w bażantarni, należy kilkanaście sztuk umieścić razem z kogutem w jakiejś drewnianej klatce.

Jeżeli kogut po niedługim czasie przysiądzie i zgromadzi pisklęta pod skrzydełka, to pewne już, że stadko przyjmie i wodzić będzie.

Zaraz tedy można go z pisklętami wywieźć i puścić w pole.

Niewszystkie jednak koguty adoptują przybrane dzieci i dlatego, jeżeli się ma sporo jaj, należy mieć zawsze kilka kogutów w zapasie.

Świetny ten pomysł, jest wynalazkiem pana Lazara znanego hodowcy z dóbr Krośniewickich, który ten sposób z bajecznymi rezultatami corocznie stosuje.—

Stanl

*) PRZYPISEK REDAKCJI.

Z powodu opuszczenia podtytułu w poprzednim numerze oraz błędów zecerskich w zakończeniu, powtarzamy je tutaj w należytym porządku, przepraszając Szanownego Autora za mimowolne zniekształcenie pracy, która wyszła z pod Jego cennego pióra.

Redakcja.

miejscowego polowania, które bynajmniej naszych nie przypominają. Jadąc na Krym, nawet nie przypuszczałem, że aż takie znajdę tutaj rozkosze.

Główną cechą krymskich polowań jest przedewszystkiem, że się tak wyrażę, nieograniczoność w przestrzeni. Wszystkie okoliczne lasy, pola, stepy są dla każdego otwarte. Do wyjątków należą, całkiem zresztą zrozumiałe, ogrody i winnice, których w stosunku do całego obszaru nie jest tak wiele. Co się tyczy samego terenu polowań jest to w przeważnej części t. zwany step, t.j. ugory; rżyska; gołe, zupełnie bezużyteczne przestrzenie o wybitnie skalistem podłożu. Tu i owdzie sterczy pojedyńczo, lub całemi kępami mały, karłowaty dąbek, albo t. zwana „koluczka", krzew nadzwyczaj nieprzystępny, rozrywający ubrania i ręce. Zresztą na Krymie połowa bez małych roślin zaopatrzona jest w ości. Tak myśliwy, jak i pies stale jest w coś przyozdobiony.

Drugie miejsce w terenie zajmują lasy, które im dalej w góry, tem częściej występują. Nie są to jednak te nasze lasy, o grubych, wysokich pniach, rosnących na mchu lub nad zielonem, leszczynowem podszyciem. Krymski las, to właściwie gęste, trudne do przebycia krzaki miejscami dosyć wysokie. W skład ich wchodzi głównie dąb, grab, dereń, a także jałowiec. Miejscami, nawet wśród największych gąszczy czai się zdradziecka „koluczka" o bardzo charakterystycznym, drobnym liściu, którą każden myśliwy uważnie omija.

Gdyśmy zapoznali się jako tako z warunkami polowania, zobaczmy jeszcze, któż tutaj korzysta z tego pięknego sportu.

Z ludności miejscowej, wiejskiej, składającej się w przeważnej części z tatarów i greków, tylko ci ostatni wykazują w tym kierunku wiele zamiłowania i wprawy. Tatarzy zupełnie nie polują. Poza tem mieszkańcy miast i miasteczek korzystają z każdej wolnej chwili, by choć trochę zapolować. Ci jednak nie uznają trudów myśliwskich i polują tylko na przepiórki podczas przelotu, a czasami wyjdą sobie na zresztą dość rzadkiego zająca. Wśród greków spotykamy wielu, którzy żyją wyłącznie z polowania. Jedynym ich dobytkiem jest jakaś mizerna chałupinka, dobry pies i mniej, lub więcej rozklekotana strzelba. Strzelb wogóle używają marnych; szczytem doskonałości jest fabryka cesarska w Tule. Kapiszonówki mają jeszcze dość duże zastosowanie. Naturalnie, wśród zamożniejszych sfer, naprzykład oficerów marynarki, urzędników i przemysłowców można spotkać lepszą broń, ale stosunkowo do ogółu myśliwych są to wypadki nader rzadkie.

Na zakończenie tego wstępu muszę jeszcze dorzucić parę uwag, specjalnie mnie się tyczących. Ponieważ nie sądziłem, że tak długo zabawię na Krymie, nie zaopatrzyłem się w żadnego psa. Musiałem tedy kupić pierwszego lepszego, jaki mi się nawinął. Był to ordynarny mieszaniec w dodatku strzelby nigdy nie widział i wymagał wiele pracy, by mógł być jako tako do polowania dostosowanym. Pod koniec sezonu wyrobił się zresztą ale na początku był mi silną zawadą. Drugim czynnikiem ujemnym był zupełny brak doświadczenia w miejscowych warunkach polowań, jak również nieznajomość tajemniczych miejsc, specjalnie przez tę lub inną zwierzynę obranych.

Nadchodzi wreszcie dzień 29 czerwca star. stylu (12 lipca n st.) x) dzień tutejszego Św. Piotra i Pawła i zarazem dzień otwarcia polowania na Krymie.

Lato jest już w całym rozkwicie. Słońce pali bez miłosierdzia, temperatura w cieniu trzyma się koło 20-23 R. Roje świerszczy cały dzień bzykają po zeschniętych trawach, a z nadejściem wieczoru zaczyna się prawdziwy koncert piewików, które swemi tercjowymi dwutonami drą się całą noc.

Myśliwy tutejszy budzi się z chwilowej bezczynności i wyrusza na łowy.

Niejednego zaciekawi pewno, co może iść o tak wczesnej porze roku na pierwszy ogień. Będzie to nasz dobry znajomy — zając.

Nie spotyka się go tutaj tak często, jak u nas, ale z dobrymi psami można zabić w ciągu roku kilkanaście sztuk. Najwięcej polują tutaj na niego z ogarami, przyczem jednemu i drugiemu szczęśliwcowi może się trafić i liszka.

Nie mając ogarów, niebardzo korzystałem z tej nowalji, ale wychodziłem parę razy na tydzień ze strzelbą, by choć coś nie coś ustrzelić. Jakoż w dość krótkim czasie spotkałem na strzał dwa szaraki i oba padły trupem. Strzelałem pozatem do kobuzów, których sporo tu się kręci i z daleka przyglądałem się orłom i krukom.

c.d.n.

x) Rzecz pisana w 1915 r. (Przyp. Red.)

BOLESŁAW ŚWIĘTORZECKI.

GŁUSZEC.

(Monografja).

ROZDZIAŁ IX.

Polowanie na głuszca: na tokach, z wyżłem, z „łajką", na osice, na modrzewiu, w zimie w czasie wylotów na żerowisko, na wylotach na drogi, z pod nart ze śniegu.

Dla prawdziwego myśliwego polowanie na tokach jest największą rozkoszą. Naturalnie nie wywiera to polowanie tego nadzwyczajnego uroku na strzelcach, mierzących przyjemność ilością uśmierconych sztuk. Na to trzeba być prawdziwym wielbicielem przyrody i ten tylko odczuwa całe piękno tego polowania, kto nadewszystko ukochał naturę, kto ze strzelbą w ręku szuka jaknajbliższego z nią obcowania, dla kogo nie jest obcą mowa lasu, komu jest znany każdy jego głos, każdy szmer, każde jego drgnienie; komu od najwonniejszych perfum jest milszy zapach wilgotnej ziemi na wiosnę, a pożółkłych liści jesienią, dla kogo wschód i zachód słońca, tyle już razy spotkany w lesie ze strzelbą na ramieniu, ma zawsze jednakowy urok; kto odczuwa cały majestat zawartego piękna w przyrodzie; do czyjej duszy wnosi to spokój i ukojenie,—ci wszyscy zgodzą się ze mną: głuszec na tokowisku, to najcenniejsza perła polowań.

Gdy śnieg zginie na polach i pozostaną tylko jako brudne plamy jego ślady w rowach i na północnych stokach wzgórz, gdy łszpak już gwiżdże w ogrodzie, a sznury gęsi z geganiem podążają na północ, gdy nareszcie drozd tak miłym dla myśliwego głosem oznajmi o przyjściu wiosny, zaczyna głuszec swój śpiew.

Zaraz po zachodzie słońca, gdy już tylko wierzchołki strzelistych sosen ozłaca ostatni promień słońca, „zalatuje" stary tokowik. Silnem uderzeniem skrzydeł, by go mogły jaknajdalej słyszeć głuszyce i rywale, a po usadowieniu się na drzewie obowiązkowem w tej chwili krekknięciem „kau-kau-kau-" oznajmia swoją obecność i miejsce na tokowisku. Wślad za nim usadawia się reszta tokowików. Każdy jak może taksamo najsilniej łopocze i krekcze. Śród tych mocnych uderzeń skrzydeł dolatują ucha myśliwego i ciche, do szumu drzew podobne. To albo obecne w tym czasie na tokowisku głuszyce ulokowują się na noc śród swych małżonków, albo przyleciał niefortunny krektun. Ten ostatni wieczorem żadnego głosu nie wydaje, stara się jaknajmniej oznajmiać o sobie, lokując się zwykle w bliskiem sąsiedztwie głuszycy, której asystuje dyskretnie.

Stare tokowiki zachowują się jak mogą najgłośniej, w tym też celu zmieniają swe miejsca, „poprawiają się" jak mówią myśliwi, zbliżając się w stronę najwięcej znienawidzonych rywali. Za każdym razem, gdy który zakrekcze, odpowiada mu reszta i żaden nie pozostaje dłużnym, jak gdyby uważał milczenie za ubliżnie swej własnej godności. Już mrok zapadnie zupełny, zamilkną głosy leśne, przyroda ułoży się do snu,—gdy znów ciszę przerwie basowe krekknięcie, a w ślad za niem, jak na dobranoc, odezwą się jeszcze raz wszystkie koguty.

Często bardzo, o ile jest wieczór pogodny i ciepły,

najstarsze głuszce probują klapać, a czasem i śpiewać, zwykle jednak, na początku tokowania, śpiew wieczorny nie trwa długo, najczęściej po kilku pieśniach głuszce znów klapią i wracają do krektania.

Ten głos wydany po śpiewie wieczornym zawsze oznacza zakończenie śpiewania, usłyszawszy go myśliwy może, o ile już rozpoczął podchód, śmiało go przerwać, nie znam wypadku, by głuszec kiedy zachował się inaczej i, że tak powiem, „oszukał".

Obecność myśliwego na wieczornych zapadach, pomijając całą przyjemność i urok, który odczuwa się w tej chwili, decyduje w znacznym stopniu o rezultacie rannego polowania. Żaden najwprawniejszy strzelec nie może wyręczyć w danym wypadku. Nie chcę przez to powiedzieć, by miał on gorzej od nas znać to polowanie, lecz nie jest on w możności przelać w nas tego wszystkiego, co słyszał, i z najszczegółowszego jego raportu nie można wywnioskować i wyrozumieć ani porządku, ani odległości, w jakiej głuszce pozapadały. Wieczorne podsłuchy mają ogromny wpływ na powodzenie w polowaniu zrana, szczególnie na tokowiskach, gdzie głuszców jest dużo. Tam tylko można z dobrym skutkiem posyłać na podsłuchy strzelca w zastępstwie, gdzie głuszców jest mało, gdzie niema obawy, że podchodząc jednego, spłoszymy inne i gdzie sprawność jego redukuje się do podprowadzenia nas zrana na miejsce, skąd usłyszymy śpiew.

— — — — — — — — — — — —

Nadzwyczaj ważną jest dla myśliwego umiejętność rozpoznawania już wieczorem, które koguty napewno będą śpiewały nazajutrz zrana. Powodując się długoletnią praktyką, doszedłem do następującego wniosku: na początku tokowania śpiewa następnego rana napewno ten głuszec: 1) który długo klapał wieczorem i dał jeden lub dwa śpiewy, 2) ten, który tylko klapał, a jeżeli nie było takiego, to 3) ten głuszec, który najwięcej, najdłużej i ostatni krektał i w końcu 4) ten, który przesadawiał się i krektał. Na tokowisku, na którem słyszeliśmy z wieczora 8—10 zapadających kogutów, na głuszce, które raz tylko krektały, rachować nie można, a te, które nie wydały żadnego głosu, stanowczo nie będą śpiewały. Głuszec zaś, który wieczorem śpiewał dobrze i długo, najczęściej następnego rana nie odezwie się wcale. Stosuje się to wszystko do dobrego tokowiska. Tam, gdzie głuszców mało, słyszy się rzadko wieczorem krektanie i przelatywanie z drzewa na drzewo; tu głuszce nie mają potrzeby straszyć siebie wzajemnie, ani walczyć z sobą i zachowują się bez porównania spokojniej. Na takiem tokowisku dla decydowania o rannym śpiewie wystarcza, gdy po zapadzie uprzedniego wieczoru słyszało się wyraźnie jednorazowe kreknięcie. Głuszec, który nie wydał tego głosu, nie będzie śpiewał i tutaj,—ten głos wydają tokowiki wieczorem zawsze i wszędzie. W drugiej połowie tokowania, t.j. od chwili gdy upada jego intensywność, rachować można na ranny śpiew tylko tych głuszców, które „dały" wieczorem, po parę śpiewów i długo klapały, zaś głuszce, które śpiewały dobrze wieczorem, zawsze następnego rana milczą, jak zaklęte, a o krekczących nic stanowczego powiedzieć nie można. Stąd też powstało u niektórych myśliwych przypuszczenie, że strzelanie głuszców wieczorem płoszy inne i wywiera zły wpływ na ranne polowanie. Jest to wierutny przesąd i polega na nieznajomości natury ptaka. Jak to już wzmiankowałem, przez kilka dni tylko w ciągu całej wiosny śpiewają wszystkie tokowiki jednocześnie jednego rana, a przez pozostałą część czasu codziennie nie śpiewają nawet najlepsze „gracze". Skoro nie śpiewał głuszec o jednej zorzy, wszelkie są szanse, o ile pogoda sprzyja, że zaśpiewa o następnej, a najdalej o trzeciej, i to samo w odwrotnym stosunku. Głuszce nie obawiają się strzału; przypuszczam, iż przekonać się o tem miał możność każdy myśliwy. Strzał wieczorny na tokowisku nic literalnie nie przeszkadza, byleby tylko myśliwy zachowywał się cicho. Przyczyna przesądu polega na tem, że gdy głuszce śpiewają dobrze wieczorem, tokowisko ma się już ku końcowi i następuje ten okres, kiedy wogóle zrana głuszce zachowują się biernie. Naśpiewawszy się wieczorem, będą zrana siedziały cicho. Wiele razy miałem sposobność przekonać się o tem, straciwszy niejeden ranek bez usłyszenia głuszca wtedy właśnie, gdy zastępujący mnie wieczorem strzelec na podsłuchach, słyszał po kilka „grających" kogutów. W dalszym ciągu jest nadzwyczaj dla myśliwego ważną rzeczą umiejętność określania odległości, w której ptak zapadł.

Wtedy tylko można być pewnym dobrego rezultatu polowania, gdy potrafimy zrana wykorzystać krótką chwilę brzasku. To też winien myśliwy pociemku, gdy ptak jeszcze śpi, zbliżyć się do niego o tyle, by nie opuszczając ani jednego śpiewu, módz odrazu podchodzić. Polegając na sile dolatującego nas głosu krektania, wnosić można, że, o ile słyszało się całe kreknięcie zupełnie wyraźnie, posłyszymy też i śpiew z tego miejsca do podchodzenia w zupełności wystarczający. Wnosząc z łopotania, wiemy, że wtedy głuszec będzie dostatecznie od nas blizko, gdy się słyszało przesuwanie piór po gałęziach. Naturalnie nie wystarcza tu opis, osięgnąć to można tylko osobistą praktyką. Z siły dolatującego wieczorem klapania lub śpiewu, sądzić można bez błędu, zrana posłyszymy zupełnie tosamo.

c.d.n.

DR. ALFRED SANDER.

De lege ferenda.

(c. d.)

Otóż czy ową jedną z najtrudniejszych tak społecznie jak nawet prawniczo, kwestji prawa łowieckiego nie byłoby lepiej załatwiać odpowiedzialnością, że tak powiem, kolektywną sfer myśliwskich. Wyobrażałbym sobie rzecz w ten sposób, by z opłat za karty na broń myśliwską, za karty myśliwskie, z grzywien za przekroczenia ustawy łowieckiej, ewentualnie z pewnych procentowych dodatków do czynszów dzierżawnych lub innych opłat, gdyby się okazała potrzeba ich ustanowienia, utworzono jeden duży fundusz, z którego władze (ewentualnie komisje łowieckie, w każdym powiecie, według już istniejących projektów, ustanawiać się mające) wypłacały od szkodowania za szkody przez zwierzynę (nie przez polowanie) zrządzone, po przeprowadzeniu jaknajprostszych dochodzeń, a wypłacały je szybko, bez szykan, a nawet hojnie. Nie mielibyśmy w tych sprawach żadnych stron spór z sobą wiodących, tylko osobę poszkodowanego, domagającego się odszkodowania, bo nawet w wypadkach, które możnaby traktować wyjątkowo, gdyby na uprawnionym do polowania ciążyła „wina" zbyt intensywnego hodowania zwierzyny, nie byłaby to srawa między nim a poszkodowanym, lecz, w drodze regresu, między funduszem łowieckim, a owym zbyt intensywnym hodowcą. Oczywiście, że szczegóły takiej instytucji prawa łowieckiego musiałyby być bardzo dokładnie przemyślane i opracowane, musiałyby może nawet czasem bawić się w kazuistykę, toby jednak jeszcze łatwiejszem było, niż sprawiedliwe ułożenie paragrafów dla określenia bezpośredniej odpowiedzialności uprawnionego do polowania wobec poszkodowanego.

Jak wyżej powiedziałem, instytucja taka prawa łowieckiego miałaby charakter więcej ogólny, bo obejmowałaby szkody przez wszelki rodzaj zwierzyny łownej zrządzone, najwybitniej jednak a korzystnie odbiłaby się na sprawie dzików, one bowiem najczęściej są powodem żalów rolnika.

Należałoby wreszcie odnośnie do dzików pozostawić w nowej ustawie przepisy o oficjalnych obławach, byleby o konieczności takich obław rozstrzygały komisje łowieckie, złożone z ludzi łowiectwu sprzyjających, a starających się je utrzymać w należytej harmonji z innemi gałęziami kultury, wtedy bowiem mielibyśmy gwarancję, że ten sposób załatwienia sprawy nie będzie nad-

używany, ale wprowadzony w czyn tam, gdzie jego zastosowania konieczność zajdzie, da podyktowany potrzebą rezultat, a w ten sposób i w owych wypadkach lokalnego niezadowolenia opinji publicznej szybko a skutecznie ją uspokoi.

Chcąc z kolei wypowiedzieć kilka słów w obronie niedźwiedzia, stoję wobec zadania tem ułatwionego, że niedźwiedź występuje u nas w ilości już bez porównania mniejszej od dzika i mając teren swego bytowania bardziej ograniczony i w kilku stosunkowo niewielkich ostojach Rzeczypospolitej skoncentrowany, ma znacznie mniejszy zastęp przeciwników, którzyby jego szkodliwość (dla rolnictwa, a raczej dla właścicieli bydła i owiec) podnosić chcieli, a przeciwnie w ostatnich latach znalazł możnych obrońców w sferach niekoniecznie myśliwskich.

Ilość niedźwiedzi, przebywających dziś jeszcze na północno—wschodnich rubieżach Państwa lub w Tatrach, nie jest mi znaną, wnosząc jednak z wiadomości, zaczerpniętych z niedawna wydanych podręczników myśliwskich, dojść mogę do przekonania, że musi ona tam być wcale niewielką, co potwierdzać się zdaje, choćby to, że wiadomości z tamtych stron o spotkaniach z niedźwiedziem są w czasopismach myśliwskich nader skąpe. Ale i w głównej swej dzisiejszej u nas kwaterze, w Karpatach wschodnich, od Żabiego po Skole, zważywszy na długość tej linji i głębokość Karpat w tych stronach, nie są niedźwiedzie liczne, skoro według informacji, udzielonych mi przez myśliwych, tamtejsze stosunki dobrze znających, ilość ich ma wynosić zaledwie 150 do 250 sztuk.

Te cyfry wydają się znikomemi nietylko myśliwym, z których wielu chciało choć raz w życiu spotkać się z niedźwiedziem, ale przedewszystkiem także przyrodnikom i miłośnikom przyrody, którzy żywią obawę, by ta ozdoba naszej fauny wkrótce zupełnie nie zanikła. Pozwolę sobie przytoczyć kilka głosów z dopiero co wspominanych sfer, za ochroną niedźwiedzia żywo obstających.

c. d. n.

MYŚLIWY W PARANIE.

(Dokończenie).

Jaguar (Felis onca) jest najsilniejszym drapieżnikiem Brazylji i wzbudza postrach ogólny. Spotyka się go prawie na całej przestrzeni Ameryki Południowej: brak jedynie w Kordyljerach i w Chili. Co do wielkości i siły nie ustępuje prawie tygrysowi bengalskiemu, dosięga wysokości 80-85 ctm. i dwóch metrów długości. Najpospolitsza jest odmiana ruda, właściwie żółto-podpalana, usiana na całem ciele czarnemi kółkami, posiadającemi wewnątrz mniejsze kółeczka i plamki; koniec ogona i obwódka dookoła paszczy czarne. Nierzadką jest jednak i odmiana ciemna o barwie czarniawej, na której kółka i plamy są już niewidoczne. Brazyljanie zwą tę odmianę tigre-preto i utrzymują, że przy spotkaniu rzuca się bez namysłu na człowieka. Jaguary przebywają zazwyczaj w wielkich lasach, lubią jednakże urządzać dalsze wędrówki nawet w miejsca otwarte, lub słabo zalesione i wyrządzają wtedy wielkie szkody mieszkańcom, napadając zwłaszcza na konie i bydło, nie mówiąc już oczywiście o mniejszych zwierzętach domowych. Dzień cały jaguar przesypia gdzieś w głębi lasu, w ustronnem miejscu wśród kolczastych krzewów, o zmierzchu zaś wychodzi na łowy; jeśli zdobycz nocna nie była obfita, próbuje szczęścia jeszcze o świcie. Gdy upoluje duże zwierzę, nasyca się krwią i najsmaczniejszymi kąskami, a pozostałość chowa w zaroślach i spożywa ją nazajutrz.

W świecie zwierzęcym Parany jaguar nie ma rywali, aczkolwiek kabokle utrzymują, że wielki mrówkojad tamandua bandeira nie cofa się przed walką z tym królem puszcz brazylijskich. Zdarza mu się atoli (jaguarowi - przyp red.) ulegać przewadze liczebnej i faktem jest, że przed potężnem stadem dzików brazylijskich jaguar zmiata pośpiesznie na drzewo. Znane są wypadki, iż stado dzików (porco do matto—Dicotyles labiatus), z którego niebacznie porwał jedną sztukę, rzuca się na złoczyńcę—i po zaciętej walce, podczas której jaguar miażdży swemi potężnemi łapami czaszki dzików, jak bańki mydlane, i zdąży niekiedy położyć kilkanaście głów, ulega jednak przemocy i ginie poszarpany na strzępy przez rozjuszone stado. Niezrównany pływak—lubi przebywać w pobliżu wielkich rzek, gdyż ułatwia mu to możność ujścia pogoni. Z tej przyczyny miewa ustawiczne zatargi ze stałym mieszkańcem wybrzeży rzecznych—kapiwary (Hydrochoerus capybara), którego doskonałem mięsem nie gardzi i człowiek.

Widziałem kilkakrotnie polowanie na kapiwary. Ow największy z żyjących obecnie gryzoniów jest niezmiernie ostrożny i nawet śmiertelnie ranny uchodzi pod wodę, wystawiając tylko w bardzo odległych odstępach czasu koniuszczek swego nosa ponad powierzchnię. Myśliwy puszcza wtedy łódkę z biegiem rzeki i śledzi ukazujące się na wodzie bańki powietrza. Po pewnym czasie siły opuszczają zwierzątko, wynurza się wtedy z wody, a wówczas nastaje moment odpowiedni, aby je dobić i wydostać.

— — — — — — — — — — — —

W dalszym ciągu spotykamy opowiadanie naszego podróżnika o tapirach oraz o dzikach południowo-amerykańskich, znanych u nas pod nazwą „pekarj".

Teraz wstąpiliśmy w lasy tak ciemne i gęste, że droga tu nigdy w zupełności nie wysycha i ślady większych zwierząt rysują się dziwnie wyraźnie. Wprawne oko dostrzega odrazu charakterystyczny, trójpalczasty ślad tapira, zwanego tu „anta" (Tapirus terrestris), który w swych wieczornych wędrówkach wydeptuje prawdziwe ścieżki, ogromnie podobne do ścieżek indyjskich. Tapir posiada czwarty, zewnętrzny palec szczątkowy, który zazwyczaj nie dotyka wcale ziemi. Unikając bliskości siedzib ludzkich, zwierz ten trzyma się dziewiczych lasów i jedynie o zmierzchu opuszcza swą kryjówkę. Próbowałem kilkakrotnie polować nań, ukrywając się zwyczajem miejscowym w pobliżu jego ścieżki. Udało mi się raz nawet doczekać w ten sposób tapira, ciemność jednak panowała taka, że nawet słysząc sapanie przechodzącego zwierza, nie mogłem dostrzec jego kształtów. Nie uważałem, za właściwe strzelać w takich warunkach, gdyż przygoda ze zranionym lekko, a więc rozjątrzonym tapirem nie należy do przyjemnych, zwłaszcza w ciemności.

Gdy docieraliśmy do środka lasu, towarzysz mój pochwycił mię nagle za ramię.

—Para, para [1])—zawołał przytłumionym głosem i jął pośpiesznie dobywać olbrzymi swój kordelas. Zamarliśmy w milczeniu; naraz z rozmaitych stron ozwały się chrząkania. Byliśmy w samym środku żerującego stada dzików. Położenie było nader groźne, zwłaszcza że w pobliżu nie było drzew, mogących stanowić schronienie, jeno olbrzymy gładkopienne oraz gęste, lecz nizkie i wątłe zarośla. W takich warunkach rozpoczynać walkę byłoby szaleństwem, to też żadnemu z nas nie przyszło nawet na myśl użyć broni palnej. Przycupnęliśmy w milczeniu, by przeczekać burzę, ufając w tępy wzrok zwierząt i korzystny dla nas kierunek wiatru. Jakoś burza minęła szczęśliwie: żerujące stado posuwało się w odwrotnym kierunku, wcale nie przechodząc przez drogę. Chrząkania stopniowo cichły i mogliśmy wkrótce pośpieszyć naprzód.

Za mojej poprzedniej bytności nad Iguassu niejedną przygodę miałem z dzikami, niejednokrotnie też posilałem się ich smaczną, tłustą i obfitą pieczenią. Sąsiedzi — kabokle stale urządzali polowania na dziki: zawiązawszy głowę chustką, boso z pistoletem jedynie i kordelasem, otoczeni zgrają psów—puszczali się świeżemi śladami. Ja towarzyszyć im nie mogłem, gdyż zręczność i wprawa kaboklów w przebywaniu gąszczów leśnych jest tak wielka, że biegną na równi z psami, prawie nie dając się im wyprzedzić. Pogoń za stadem trwa dopóty, dopóki nie uda się odbić od stada jednej lub kilku sztuk. Wówczas sfora psów osacza zwierza, a myśliwy puszcza w ruch kordelas lub daje ognia z pistoletu.

[1]) Para stój.

Na takich polowaniach jedynie niebezpiecznem jest dostać się przypadkiem w środek stada, szczególniej mając przy sobie psa, do którego dziki czują szczególną niechęć. Opowiadano mi zdarzenie, że uciekający przed stadem dzików pies naprowadził rozjuszone zwierzęta na myśliwego i w jego oczach został rozszarpany na strzępy; myśliwcowi uratowała życie nieruchoma jego postawa i słaby wzrok zwierząt.

Pewnego razu, polując z towarzyszem, usłyszeliśmy w puszczy straszny łoskot. Ziemia drżała, bór jęczał, rozlegał się trzask łamanych krzewów: pędziło ku nam olbrzymie stado dzików. Nie mając zbyt wielkiego zaufania do swych zdolności akrobatycznych, wcisnąłem się między kańciaste odnogi olbrzymiego pnia imbui ii przygotowawszy broń, obserwowałem zachowanie się towa zysza. Jemu widocznie taka kryjówka nie wydawała się bezpieczną, gdyż wyprawiał nadzwyczajne skoki, aby dostać się na drzewo, aż wreszcie w najkrytyczniejszym momencie, objąwszy rękami i nogami pień jakiegoś cieniutkiego drzewka, począł się drapać na nie, a drzewko pod jego ciężarem gięło się i groziło upadkiem. Nadzwyczajny komizm tej scenki wziął górę nawet nad strachem.

A tymczasem burza zbliżała się szybko: tuż przed nami zarośla ugięły się aż do ziemi i w odległości kilkunastu kroków całe morze czarnych grzbietów przemknęło w szalonym pędzie.

Znam oba żyjące w Paranie gatunki: mniejszy, srebrzysty, zwany tatetu (Dicotyles torquatus), który nie łączy się w wielkie stada i trafia się dosyć rzadko, i drugi zwany porco do matto (Dicotyles labiatus). Ten ostatni żeruje w dzień, łącząc się w stada, złożone nieraz z setek głów, żywi się głównie korzonkami. Gatunek ów znacznie większy od poprzedniego, dochodzi do 45 ctm. wysokości, posiada słuch i węch znakomity, natomiast wzrok dość tępy. Doskonałe jego mięso stanowi przynętę dla myśliwych.

Wreszcie spotykamy jeszcze kilka szczegółów obyczajowych o pumie czyli lwie amerykańskim.

Puma (Felis concolor) jest dosyć pospolita w lasach parańskich. Żyje i poluje nocą, zaś w ciągu dnia śpi w gęstwinie leśnej; w miejscach bezleśnych spotyka się dość rzadko; smuklejsza od jaguara—przewyższa go zręcznością i zwinnością i bez wysiłku wdrapuje się na drzewa. W przeciwieństwie do jaguara unika wody, aczkolwiek posiada umiejętność pływania. Żywi się ssakami leśnemi, jak paki, sarny i małpy. Zwłaszcza do tych ostatnich żywi szczególną predylekcję i gdzie tylko znajduje się obfitość małp, tam napewno przebywają pumy; chwyta je zazwyczaj po długiej gonitwie śród konarów drzew. Puma nie wyrządza żadych szkód w stadach koni lub bydła, natomiast w miejscowościach, gdzie hodują owce, staje się groźnym szkodnikiem, dostawszy się bowiem do stada, zabija po kolei sztukę za sztuką i wysysa krew, mięso pozostawiając nietknięte. W ten sposób drapieżnik może w ciągu jednej nocy zabić do 50 głów. Mieszkańcy opowiadają wiele historji o sympatjach, jakie podobno puma żywi dla człowieka. Nie miałem sposobności przekonać się o tem, atoli nie słyszałem o żadnym akcie wrogim. Puma żyje samotnie z wyjątkiem pory godowej, która przypada w lutym lub marcu. W październiku są już małe—i wówczas zaczepiona, a zwłaszcza ranona samica może stać się niebezpieczną.

Przerywając na tem powyższych kilka wyciągów z książki ś.p. Chrostowskiego „Parana", dodać musimy, że dziełko to, zawierające doskonałe opisy przyrody Parany, oraz obyczajów jej mieszkańców, winno znaleźć się w ręku każdego, interesującego się krainą, gdzie tyu naszych ziomków przebywa. Zwłaszcza lekturę jej rekomendować należy młodzieży naszej.

STEFAN RÓSZKIEWICZ.

Ciągi słonek w okolicach Sokołowa podlaskiego wiosną 1924 r.

Ciągi słonek u nas rozpoczynają się zwykle około 20 marca, kończą się zaś około 15 kwietnia.— Lęgowych słonek niema. Spotykano wprawdzie słonki młode w niżej położonych wycinkach po większych kompleksach lasów, lecz są to wypadki sporadyczne, które pod uwagę brane być nie mogą.

W roku bieżącym, zapewne z powodu spóźnionej wiosny, ciągi słonek, prawie wszędzie u nas, rozpoczęły się 1 kwietnia, skończyły się zaś około 20 kwietnia. Tak przynajmniej sygnalizowano mi z miejsc, gdzie ciągi słonek bywają najlepsze.

Lecz widocznie rok bieżący co do przelotów ptactwa do anormalnych zaliczyć należy, gdyż w lasach majątku Kurowice słonki ciągnęły jeszcze w maju. Prawdopodobnie były to słonki, które pozostały tam dla lęgów.—Straż leśna w majątku Ruchna, pow. Węgrowskiego donosiła w lipcu, że słonki znowu zaczęły ciągnąć rano i wieczorem. To już jest dla mnie niezrozumiałe, gdyż obserwując od dawna przeloty ptactwa, nie zdarzyło mi się nigdy słyszeć o ciągu słonek w lipcu. Wiadomość tę powtarzali prawie wszyscy gajowi, ludzie doświadczeni i wiarogodni, którzy obawialiby się wprowadzać w błąd administrację dóbr, wierzyć więc im trzeba. Również w niewielkim zagajniku wsi Orzeszówka pow. Węgrowskiego, miejscowy leśnik stale widywał w lipcu r.b. podrywające się słonki, lecz o ciągach, które tam zawsze były bardzo słabe, nie meldował.

Na skutek wezwania Redakcji „Łowca Polskiego" zwróciłem się, w swoim czasie, do tutejszych wybitniejszych myśliwych z prośbą o zaobserwowanie, czy zabite przez nich słonki, które chrapały, były samcami.— Niestety, z powodu spóźnionej pory, padło mało słonek i jeden tylko dr. Połkowski z Sokołowa, który zabił słonkę na ciągu dnia 22 kwietnia r.b. dał mi ciekawą odpowiedź. Zabita przez niego słonka była samicą, lecz ciągnąc, i chrapała i piszczała. Sądzę, że szanowny pan doktór, zamiłowany myśliwy, który ani jednego wieczoru w czasie ciągów nie opuścił, musiał przeoczyć chrapiącego samca, strzelił zaś do samicy, ciągnącej z tyłu lub z boku.

W każdym razie o powyższym fakcie uważam za właściwe donieść Szanownej Redakcji „Łowca Polskiego".—

Elżbietów dn. 15 sierpnia 1924 roku.

JANUSZ DOMANIEWSKI.

Przegląd polskiej literatury łowieckiej.

Jan Sztolcman. — Łowiectwo. Podręcznik dla szkół leśnych i rolniczych.

Wydanie drugie, Warszawa 1920. Nakładem M. Arcta.

Książka ta po raz pierwszy wydana była w roku 1918 w Warszawie przez Polskie Towarzystwo Łowieckie. Jak wówczas autor zaznaczył, treść książki stanowi wykłady wygłaszane w średniej szkole Leśnej w Warszawie. To objaśnienie autora jest dla nas o tyle ważne, że tłomaczy objętość książki. Prof. Sztolcman wykładając, był naturalnie skrępowany ilością godzin wykładowych i musiał do nich dostosować zakres kursu. Bezwątpienia książka straciła na tem bardzo, jest bowiem za mało obszerna. A szkoda. Któż lepiej mógł nam napisać obszerne „Łowiectwo" jak Sztolcman, będący jednym z naszych najwybitniejszych myśliwych i znawców teoretycznego łowiectwa. Niemniej książka jest znakomita. Zmuszony do streszczania się, autor doskonale rozwiązał tę sprawę. Umiał wybrać to, co jest najważniejsze, i podać w formie jasnej i wykończonej, mimo to jednak znający się na rzeczy czytelnik widzi wciąż, że autor miałby wiele, wiele więcej do powiedzenia.

Znać, że tę książkę pisał przyrodnik i to zoolog zajmujący się specjalnie kręgowcami; to też podstawy przyrodnicze książki są bez zarzutu. A to w podobnej książce jest nadzwyczaj ważne.

Autor podzielił książkę na dwie części. Część I obejmuje „Zwierzęta łowne", część II „Hodowlę zwierzyny". W części pierwszej autor opisuje krajowe gatunki ssaków i ptaków łownych. A więc przy każdem zwierzęciu podana jest jego charakterystyka, geograficzne rozmieszczenie, występowanie w Polsce, jego obyczaje i sposób polowanie nań. W części drugiej znajdujemy wskazówki, dotyczące hodowli poszczególnych zwierząt łownych, dalej Tępienie kłusownictwa i drapieżników" „Urządzanie polowań", „Psy myśliwskie" wreszcie „Broń myśliwska". W rozdziałach tych znajdujemy te wszystkie podstawowe wiadomości, które każdemu myśliwemu są nieodzowne. Jest to doskonały podręcznik dla szkół leśnych i rolniczych, jednocześnie zaś jest to książka, która winna się znaleźć w bibljotece każdego myśliwego i miłośnika przyrody. Nawet najbardziej doświadczony myśliwy zajrzawszy do niej, znajdzie szereg interesujących szczegółów i z przyjemnością odświeży sobie swoje wiadomości teoretyczne. Tem bardziej, że książka, jak zresztą wszystko co Sztolcman pisze, napisana jest doskonałym językiem. Wielka szkoda że „Łowiectwo" nie jest ilustrowane; zdaniem mojem, należałoby bezwarunkowo to niedomaganie poprawić w następnem wydaniu. Szkoda również, że książka wydana jest na tak złym papierze.

Inż. Wiesław Krawczyński. Łowiectwo. Przewodnik dla leśników zawodowych i amatorów myśliwych.

Ze 140 ilustracjami. Warszawa 1924. Nakładem Gebethnera i Wolffa.

Książka podzielona jest na pięć części. W czterech pierwszych częściach opisuje autor cztery kategorje zwierzyny łownej, a więc ssaki, należące do zwierzyny grubej, (powiedziałbym lepiej, do wielkich łowów), ptaki należące do zwierzyny grubej, ssaki należące do zwierzyny drobne. (czyli małych łowów), wreszcie ptaki należące do zwierzyny drobnej. Część piąta obejmuje „Psy myśliwskie", „Palną broń myśliwską", „Postępowanie z ubitą zwierzyną i transport", „Rozkład". W końcu książki podane jest „Alfabetyczne zestawienie użytych w pracy wyrazów gwary myśliwskiej", na początku „Zarys historji łowiectwa".

We wstępie zaznacza autor, że specjalny nacisk kładzie na nomenklaturę i gwarę myśliwską. Przeczytałem to z przyjemnością. Już to wogóle ta gwara myśliwska niedomaga u nas bardzo, lub też ściślej mówiąc, jest prawie w zupełnem zapomnieniu. To też każde poczynanie, dążące do jej odrodzenia, winno się spotkać z najwiekszem uznaniem. Szkoda jednak, że autor swej myśli przewodniej nie przeprowadził konsekwentniej. Tak wic spis nazw łowieckich na końcu książki świadczy, że w książce bynajmniej nie wszystko, co posiada nasz język łowiecki, zostało uwzględnione. Poza tem w tak obszernej książce można było podać słownik wyrazów myśliwskich; obok nazwy używanych w tekście, byłoby to doskonałą propagandą i ułatwieniem w zapoznawaniu się z gwarą.

Co do podziału zwierzyny na kategorje, zastrzeżenie można mieć przedewszystkiem, co do sarny którą raczej do zwierzyny drobnej bym zaliczył. Autor zalicza sarnę do wielkich łowów i każe do niej strzelać tylko kulą; w dalszym ciągu strzelanie sarn na nagance uważa autor za niemyśliwskie. Zgodzić się na to nie mogę, nie chcąc jednak w tej sprawie się rozpisywać, odeślę autora przedewszystkiem do znakomitego artykułu Dr. Zaborowskiego („Burza w szklance wody", Łowiec Polski, 1924 r. Nr.Nr. 7,8,9,). W sprawie tej inż. Krawczyński ulega wpływom niemieckim; wpływów tych można się zresztą doszukać i w innych miejscach książki. Na temat podziału zwierzyny względnie klasyfikowania łowów „wielkie" i „małe", możnaby zresztą dyskutować wiele, dyskusja ta jednak będzie miała zawsze charakter akademicki a z punktu widzenia życia dzisiejszego myśliwego nie ma ona najmniejszego znaczenia. Jestem zdania, że w książkach tego typu, co omawiana lepiej, o tych „wielkich i małych łowach" pisać we wstępie historycznym.

W książce swej autor opisuje kolejno szereg gatunków naszej zwierzyny i każdy gatunek omawia możliwie wszechstronnie, naturalnie z punktu widzenia zainteresowań myśliwego. Niema więc tu podziału takiego, jak w książce Sztolcmana, na „Przyrodę" i „Hodowlę". Ma to, przyznać trzeba, swoje dobre strony, gdyż chcąc się czegoś dowiedzieć np. o jeleniu, nie trzeba szukać w kilku miejscach książki. W jednym rozdziale o tym jeleniu znajdujemy więc: „Historję, opis i gwarę myśliwską", „Żer i karmienie" „Hodowlę i rozmnóż" (dlaczego nie rozmnażę?). „Łowy", „Obowiązki myśliwego względem postrzałka", wreszcie „Użyteczność jelenia".

Zgadzając się chętnie na takie rozplanowanie książki, zauważyć jednak muszę, że mimo to przydałoby się w niej kilka osobnych rozdziałów ogólniejszej natury, np. o hodowli wogóle, o tępieniu drapieżników i zwalczaniu kłusownictwa, o prowadzeniu polowań itp.

Chciałbym o każdej polskiej książce łowieckiej pisać jaknajlepiej i zwracać uwagę przedewszystkiem na jej dobre strony. Są jednak rzeczy, które wymagają bezwzględnej, surowej krytyki. Zgodzi się na to chyba każdy że podstawą każdego podręcznika łowiectwa, z której się ciągle wychodzić powinno są przedewszystkiem dokładne przyrodnicze dane. Autor, biorący się do napisania takiej książki, musi więc mieć poważne przyrodnicze przygotowanie, ściślej mówiąc, musi być zoologiem, i to takim który specjalnie zajmuje się ptakami i ssakami. W przeciwnym razie będzie popełniał wciąż mnóstwo błędów. Żywym dowodem tego jest właśnie książka inż. Krawczyńskiego. Inż. Krawczyński nie jest przyrodnikiem, i to się mści fatalnie w wielu miejscach jego książki.

Nie chcąc stawiać zarzutów gołosłownych, zmuszony jestem podać tu nieco przykładów.

- W spisie ptaków łownych nie podał autor pardwy, a więc albo nie wiedział, że ona u nas występuje, albo też o niej zapomniał. O takich rzeczach zapomina się tylko wtedy, gdy się nie obejmuje całokształtu fauny danego kraju.

2- Na str. 21 autor powątpiewa o występowaniu żubra na Kaukazie. Autor pisze to w r. 1921 i nic nie wie o tem, że występowanie żubra na Kaukazie zostało stwierdzone już około 1840 roku, a od 1860 roku żóbr kaukaski, aż do wybuchu wielkiej wojny cieszył się specjalną ochroną, podobnie, jak żubr białowieski. Na tejże stronie pisze autor, że żubra tylko w Białowieży w dzikim stanie zobaczyć można. A więc autor nic nie wie o tem, że żubry w Białowieży zostały wytępione przez chłopów jeszcze kilka lat temu?!

3- Na str. 139 pisze autor, że wilk, „stały mieszkaniec dawnych lasów polskich i litewskich jest w nich obecnie niemal tylko gościem, zatrzymującym się w odległych wędrówkach z północnej Rosji, jako zwierz przechodni, stale koczuje w nieznacznych ilościach w okolicach Wilna, na Wołyniu, w błotnistem Polesiu i w Puszczy Białowieskiej." Dane te są conajmniej nieścisłe. A Karpaty? Czyż autor nic nie wie o klęsce wilków w Karpatach.

4- Na str. 194 pisze autor o łabędziu, że są znane trzy jego odmiany, i cytuje następnie trzy gatunki łabędzi. Autor najwyraźniej nie zdaje sobie sprawy z tego, co to jest gatunek. Nie wie autor również (patrz str. 260), że kuna leśna, czyli tumak, i kuna domowa czyli kamionka, to dwa różne gatunki zwierząt. Rodzaje nazywa autor gatunkami (patrz str. 320). Wszystkie znane gatunki kaczek, grupuje autor jakby w sześć rodzajów; w tych sześciu rodzajach nie pomieszcza autor wielu gatunków krajowych, natomiast cytuje duńskie i amerykańskie, które bezpośrednio naszych myśliwych nic nie obchodzą. Ta systematyka kaczek jest poprostu humorystyczna i tak naiwna, że niepodobna nawet poddać jej poważnej krytyce. Co mają przytem znaczyć te nazwy niemieckie?

5- O braku przygotowania przyrodniczego autora świadczą jeszcze takie rzeczy, jak nazywanie dubelta odmianą kszyka, określenie upierzenia samicy bataljona jako podobnego do upierzenia słonki, nazywanie błotniaka jastrzębiem i t.d.

6- Po za wyżej wymienioną pardwą autor najwidoczniej nie zna całego szeregu naszych ptaków łownych, a więc wielu gatunków kaczek, gęsi, siewek, brodźców, biegusów.

7- Autor bardzo słabo orjentuje się w naszych ptakach drapieżnych, o czem świadczy np. podanie w książce takich rzadkich ptaków, jak sokoła wędrownego lub raroga, a brak pustułki, myszołowa, orlików całego szeregu sów i t.d.

8- Na str. 352 podana jest fotografia myszołowa, pod pis zaś opiewa, że jest to gołębiarz. Myśliwy i to hodowca, który, pisząc książkę, chce uczyć innych, błędów takich popełniać nie może. Błędów podobnych i innych, jak również rozmaitych nieścisłości przyrodniczych jest w książce mnóstwo; jest ona poprostu niemi usiana. Również i pod względem łowieckim można książce wiele zarzucić, ale o tem już pisać nie chcę. Pocóż krytykować dom, który się wali, bo ma fundamenty kiepskie; wystarczy w takim razie poprzestać na fundamentach.

Kalendarz myśliwski.

W październiku wolno jest polować, o ile uprzednio nie wyszedł dekret ministerjalny (dla b. Kongresówki), dekret Wydziału obwodowego (dla b. Zaboru Pruskiego) lub Władzy powiatowej (dla Małopolski):

W b. Kongresówce: na łosie (byki), na jelenie (byki), na daniele (byki), na rogacze, na zające, na cietrzewie (koguty, kury i młode), na jarząbki (koguty i kury), na bażanty (koguty, a na kury tylko w tych miejscowościach, gdzie są urządzone i prowadzone bażantarnie), na kuropatwy, na przepiórki, na słonki, na dzikie kaczki (kaczory i kaczki), na dzikie gęsi, na łabędzie, na żórawie, na siewki, na dubelty, na kszyki, na bekasiki, na derkacze na bataljony, na kuligi, na dzikie gołębie i na drozdy (kwiczoły i paszkoty).

W b. Zaborze Pruskim: na jelenie (byki), na łanie i na cielęta jelenia (od 16 października), na daniele (byki), na danielice i na cielęta danieli — od 16 października, na borsuki, na zające, na cietrzewie, na jarząbki, na bażanty, na kuropatwy, na przepiórki, na pardwy szkockie, na dzikie kaczki, na bekasy, na dropie, na łabędzie, na żórawie, na kuligi, na derkacze oraz na wszelkie inne ptactwo błotne i wodne z wyjątkiem dzikich gęsi (?) i na kwiczoły.

W Małopolsce: na kozły, na jelenie (byki), na zające, na jarząbki, na cietrzewie (koguty), na głuszce (koguty), na kuropatwy, na bażanty (koguty i kury), na przepiórki, na dzikie gołębie, na dropie, na strepety, na kszyki, na dubelty, na kulony, na bataljony, na dzikie gęsi i dzikie kaczki.

Uwaga: Przepis ten nie stosuje się do polowań urządzanych w zamkniętych zwierzyńcach.

Na Kresach (według Ustawy „Zakon ob ochotie 3 fevrala 1892 goda"): na łosie (byki), na jelenie (byki), na rogacze, na głuszce (koguty i kury), na cietrzewie (koguty i kury), na słonki, na dzikie gęsi i łabędzie, na dzikie kaczki, na bekasy, na dubelty, na bekasiki, na kuligi, na czajki, na derkacze i na wszelkie inne wodne i błotne ptactwo, na kuropatwy, na bażanty, na zające, na dropie, na strepety i na przepiórki.

Tereny łowieckie.

W dniu 21 października 1924 roku, o godzinie 12-ej w lokalu Zarządu Okręgowego Lasów Państwowych w Siedlcach odbędzie się ustnie i zapomocą ofert pisemnych — licytacja na wydzierżawienie terenów łowieckich w lasach państwowych Okręgu Siedleckiego, na czas od 1-go listopada do 28 lutego 1928 roku włącznie.

Wykaz jednostek wydzierżawianych, warunki przeprowadzenia licytacji, wzór umowy i oferty — są do przejrzenia w biurze wymienionego urzędu, jako też w Ministerstwie Rolnictwa i Dóbr Państwowych w Warszawie (Departament Leśnictwa).

Strzelnica Polskiego Towarzystwa Łowieckiego.

Założona przed miesiącem w lokalu Polskiego Towarzystwa Łowieckiego (Nowy-Świat 35) strzelnica cieszy się stałą i coraz liczniejszą frekwencją. Godnem zaznaczenia jest, że młodzież nasza, zwłaszcza szkolna, garnie się coraz więcej do tak miłego, a tak niezbędnego sportu strzeleckiego. Przyczyniają się do tego znaczne ulgi, jakie zarząd strzelnicy poczynił dla uczącej się młodzieży. Należą się też wielkie słowa uznania Komitetowi strzelnicy w osobach pp. prezesa Słonczyńskiego, Złotnickiego, Garczyńskiego i Lisowskiego za inicjatywę i zrealizowanie mimo tysiącznych trudności, tej niezbędnej instytucji. Obecnie Zarząd strzelnicy zajęty jest zaprowadzaniem urządzeń, mających umożliwić strzelanie nawet podczas silnych mrozów.

Wystawa drobiu, gołębi i psów w Warszawie.

W dn. 26—28 października r. b. odbędzie się w Warszawie wystawa ptactwa domowego, psów, oraz zwierząt futerkowych. Wystawa obejmować ma następujące działy: 1) Ptactwo domowe, 2) ptactwo łowne, ozdobne i śpiewające, 3) króliki oraz dzikie zwierzątka futerkowe (kuny, tchórze, wydry, lisy i t. p.), 4) gołębie lotne, ozdobne, opasowe oraz pocztowe, 5) psy — myśliwskie, policyjne i wojskowe, owczarskie, podwórzowe, pokojowe i inne, 6) przybory hodowlane, 7) szkodniki drobiu i królików, 8) środki lecznicze, 9) wydawnictwa.

W czasie wystawy odbywać się będą **ćwiczenia psów policyjnych** oraz **loty gołębi pocztowych.** Atrakcją wystawy będzie **dział psów** który zapowiada się niezwykle interesująco. Nieposiadanie rodowodów okazów wystawionych nie będzie przeszkodą do otrzymania nagrody. Psy premjowane według odnośnych wzorców (standardów) i nie posiadające świadectw rodowodowych, po orzeczeniu sędziów zostaną wpisane do ksiąg rodowodowych **polskiego związku hodowców psów rasowych.**

Atrakcją będzie również dział małych zwierząt futerkowych, mający na celu zainteresowanie szerszego ogółu hodowców, myśliwych i miłośników zwierząt do zajęcia się nową gałęzią hodowlaną, rozwijającą się dziś bardzo pomyślnie w Ameryce i zapoczątkowaną w Europie.

Do Komitetu honorowego zaproszono pp. Dykiera, dyr. dep. w min. roln., gen. Konarzewskiego dowódcę D. O. K., Sołtana wojewodę warszawskiego i M. Borzęckiego głównego komendanta policji państwowej.

Do Komitetu Wykonawczego wybrano: p. M. Trybulskiego na prezesa, pp. A. Choromańską, dr. Heinricha i Stuermera na wice-prezesów. Na skarbnika i sekretarza p. Al. Zacharskiego i na drugiego sekretarza p. Jegera. Na gspodarzy działów: drobiu p. Stefana Orlewicza, gołębi por. P. Sowę, psów kom. Grima. Na członków komitetu pp. Ejsmonda, Sztolcmana, Knothego, Rozwadowskiego, Żukowskiego, Drilla, oraz delegata Tow Opieki nad zwierzętami. Komitet Wystawy rozporządza wysokiemi nagrodami honorowemi, jak to dyplomami i medalami w naturze, nagrodami pieniężnemi i t. p.

Podając o powyższem do wiadomości pp. hodowców, prosimy o jaknajszybsze nadsyłanie deklaracji pod adresem: Warszawa, ul. Kopernika 30, tel. sekretarza 236-11. tel. prezesa 39-07.

Komitet Wystawy.

Drobiazgi myśliwskie.

Szczęśliwy strzał. Pan Wacław Mazaraki z Lutyjowa na Wołyniu donosi nam, że podczas wycieczki konnej, jaką odbył z kuzynem swym p. J. Boguszem, spotkał stado żórawi na polu koniczyny. Pragnąc napędzić ptaki na swego towarzysza, p. Mazaraki objechał stado, a widząc, że ptaki już się zaczynają niepokoić, puścił swego wierzchowca pełnym galopem. Gdy był już na jakie 150 kroków, żórawie zerwały się ciężko, a wtedy nasz sportsmen, nie mając innej broni, rozpoczął szybki ogień do najbliższego ptaka ze swego browninga 7,65 mm. Za czwartym strzałem ptak zwinął się i spadł z przetrąconem skrzydłem. Pan Mazaraki podjechał do rannego żórawia lecz ten za zbliżeniem się jeźdźca rzucił się z furją na wierzchowca. Koń chrapnął, rzucił się w bok i poniósł Dopiero opanowawszy rumaka, p. Mazaraki podjechał znów do ptaka i celnym strzałem dobił. Z listem, opisującym ten wypadek, otrzymaliśmy fotografję obu sportsmenów wraz z zabitym ptakiem, lecz na nieszczęście odbitka ta nie nadaje się do reprodukcji w piśmie naszem

Znamienny objaw. Pomorski Wojewódzki Sąd Admjnistracyjny rozporządzeniem z dnia 7 lipca 1924 r. Nr. 564/24 przedłożył w roku bieżącym na całym obszarze Województwa Pomorskiego czas ochrony dla kuropatw do dnia 14 września 1924 r. włącznie, a początek czasu ochronnego dla kuropatw, ustanowił na dzień 17 listopada 1924 r. to znaczy, że pierwszy dzień polowania na kuropatwy przypada na 15 września r.b., a kończy się z dniem 16 listopada 1924 r. W stosunku do Kongresówki czas ochrony zwiększony o 1 miesiąc, a względem Małopolski o 1 i pół miesiąca. Tutejsi prawdziwi myśliwi uznali to rozporządzenie za racjonalne, wobec tak słabego stanu kuropatw, jak i obecnie w województwie pomorskiem się znajduje. Nie zaszkodziłoby nawet zamknięcie polowania na kuropatwy zupełnie, na przeciąg przynajmniej jednego roku.

J. Ż.

Wilki na podlasiu. W majątku Skrzeszew, pow. Sokołowskiego, widywano w Lipcu r. b. dwa wilki, które trzymay się w żytach. Obecnie w lasach majątku Stara Wieś, pow. Węgrowskiego, straż leśna widuje wilczycę z siedmiu szczeniętami. W lasach dóbr Łochów, pow. Węgrowskiego widziano trzy duże wilki. Dwadzieścia kilka lat temu, widywano w naszych stronach wilki; mianowicie w lasach Jartypórskich i Łochowskich. Wilków było trzy sztuki, lecz od tego czasu nikt tu u nas wilków nie widział. Prawdopodobnie z powodu rozmnażania się wilków na Wschodzie, zaczynają się one zagnieżdżać u nas.

St. R.

Wilki na Polesiu. Starostwo pińskie walcząc ustawicznie z wilkami wyrządzającymi, może nie tyle teraz, ile w zimie ogromne szkody ludności, stale, bo co tygodnia urządza obławy na tych szkodników. Podczas ostatnich dwóch obław ubito 11 wilków. Polowania te z naganką odbywają się przeważnie na terenie gmin: łohiszyńskiej i sławeckiej, gdzie w ogromnych lasach hr. Platerowej ukrywają się ich wielkie gromady. Ludność wiejska doskonale zdając sobie sprawę ze znaczenia, jakie ma dla niej tępienie wilków, bardzo chętnie bierze udział w obławach. Na ostatniem polowaniu, w którem wzięło udział zwyż 30 strzelców pod wodzą leśniczego p. Butewicza, zgłosiło się do naganki stukilkudziesięciu ludzi na ochotnika. Zapowiedziany jest szereg dalszych polowań na wilki.

Odpowiedzi Redakcji.

P. Żarnowskiemu w Starogardzie.

Wszystkie prace Sz. Pana otrzymaliśmy i bardzo za nie dziękujemy. Znajdą one miejsce kolejno w piśmie naszem. Również doszły nas wzory druków, używane przy wydzierżawieniu polowań. Druki te zakomunikowaliśmy Wydziałowi Wykonawczemu C.Z.S.Ł. Statut Związku wysłany. Roczników „Łowca Polskiego" jak również „Kalendarza Myśliwskiego" w handlu niema. Komplety te można tylko wypadkiem napotkać.

REDAKTOR: **Jan Sztolcman** WYDAWCA: **Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich.**

SKŁAD BRONI I AMUNICJI ORAZ WARSZTATY REPARACYJNE

„SPORT" SP. Z OGR. ODP.

Warszawa, Chmielna Nr 33. — Telefon 226-13. (W pobliżu Dworca Głównego)

POLECA: broń pierwszorzędnych fabryk oraz wielki wybór naboi myśliwskich z kapiszonami Gevelot oraz oryginalne naboje i gilzy Eleya Angielskie.

Wykonywa wszelkie roboty w zakres puszkarstwa wchodzące, po cenach umiarkowanych

UWAGA: Zakład prowadzony przez wykwalifikowanych puszkarzy b. współpracowników pierwszorzędnych firm warszawskich i zagranicznych.

Firma stale posiada na składzie wybór strzelb używanych, po minimalnej cenie. Zamówienia pocztowe i kolejowe wykonywa się za zaliczeniem.

„VENATOR" PRZEWODNIK MYŚLIWSKI

UŁOŻONY PRZEZ **WŁODZIMIERZA KORSAKĄ**

UKAZAŁ SIĘ JAKO I TOM „BILJOTEKI MYŚLIWSKIEJ"

I JEST DO NABYCIA W ADMINISTRACJI **„ŁOWCA POLSKIEGO".**

WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT № 35.

— — CENA **Zł. 2.50**, Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ ZA ZALICZENIEM **3 Zł.** — —

GEBETHNER I WOLFF

KSIĘGARNIA I SKŁAD NUT
W POZNANIU, UL. FR. RATAJCZAKA 36

polecają następujące dzieła z zakresu łowiectwa:

Berger: In Afrikas Wildkammern, w oprawie.
Berger: Aus einem verschlossenen Paradiese ilustr. w opraw,
Brandt: Fährten- und Spurenkunde, ilustr., w opraw.
Brandt: Der langhaarige deutsche Vorstehhund, w opraw.
Czynk: Das Auerwild —Jagd—Hege—Pflege, w opraw.
Deinert: Kunst des Schiessens, w opraw.
Der Jagdspaniel, w opraw.
Diezels: Niederjagd, ilustr. w opraw.
Grashey: Praktisches Lehrbuch für Jäger, ilustr., w opraw.
Hartigs: Lehrbuch für Jäger, ilustr. w opraw.
Hohe Jagd, ilustr., w opraw.,
Luck Jägsrsagen und Jagdgeschichten, ilustr., w opraw.
Müller: Der gesunde Hund, ilustr.. w opraw.
Müller: Der kranke Hund, ilustr.. w opraw.
Niedieck: Mit der Büchse in fünf Weltteilen, ilustr., w opraw.
Neudammer Förster Lehrbuch, ilustr., w opraw,
Oberländor. Der Lehrprinz, ilustr., w opraw.
Otto. Im Kanadischen Wildniss, ilustr,, w opraw.
Raesfeld. Die Hege in der freien Wildbahn, ilustr., w opraw.,
Raesfeld. Aus der Weidmannstasche ilustr., w opraw.
Raesfeld. Das Rehwild, ilustr., w opraw.
— Das Rotwild, ilustr., w opraw.
— Das deutsche Weidwerk, ilustr., w opraw.
Regener. Jagdmetoden, ilustr
Riesenthals. Jagdlexikon, ilustr., w opr.
Schäff. Jagdtierkunde. w opraw.
Schmidt. Mittenjagd, w opraw.
Stach. Raubzeugvertilgung, w opraw.
Winekels. Handbuch fur Jäger. 3 tomy w opraw.
Wild-Queissners. Kunst des Schiessens

BROŃ I AMUNICJA

H. SAWICKI I S. CZERSKI

Sp. z ogr. odp.

WARSZAWA, KRÓLEWSKA 31, TELEF. № 38-03.

POLECA: Bronie sztucery i rewolwery pierwszorzędnych fabryk:
Joseph Defourny, Herstal, **Jean Riga-Strassart,** Liége
Galand, Paris, **Marcel-Jamin,** Liége
Kurkowe od zł. 120.—, bezkurkowe od zł. 225.—
Anciens Etablissements Pieper, Herstal
kurkowe od zł. 160.—, bezkurkowe od zł. 180.—, z ezektorami od zł. 225.—
Fabrique Nationale, Herstal, **B-.ia Rempt,** Suhl
Springer, Wiedeń i innych.
Pojedynki: dwustrzałowe doskonałej roboty specjalnie dla straży leśnej

NOWOŚĆ:
Sztucerki małokalibrowe, roboty **Springera** z lunetkami i bez.
Amunicja wszelkiego rodzaju.
Duży dział przyborów fechtunkowyh.
PIERWSZORZĘDNE WARSZTATY PUSZKARSKIE.

CENY i SZCZEGÓŁOWE
OBJAŚNIENIA NA ŻĄDANIE.

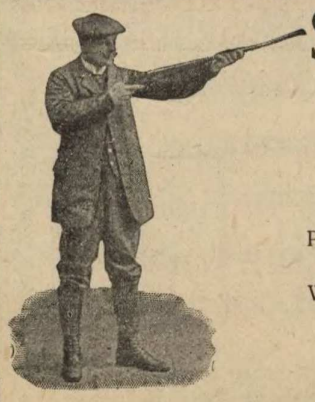

Skład Broni p. firmą I. Sosnowski

EGZ. OD 1861 R.

WŁAŚCICIEL C. LISOWSKI

ul. OSSOLIŃSKICH Nr. 1 (daw. Czysta 1) w Hot. Europ.

Poleca śrótowe naboje w gilzach Zakładów Amunicyjnych „Pocisk" S. A. ze specjalnym kapiszonem silniejszym od dotychczasowych, które nie pozostawiają rdzy w lufach.

Wyłączna sprzedaż znanych broni śrótowych i sztucerów dubeltowych, fab. „G. Defourny Sevrin" w Liége

Sztucery mało kalibr. „LA FRANCOTTE"
Automaty 10 strzałowe f. „FABRIQUE NATIONALE" i inne

WARSZTATY REPARACYJNE.

SPÓŁKA AKCYJNA

Handlu Ziemiopłodami

Warszawa, Kopernika 30.

(Wydział Techniczno-Młynarski)

projektuje i prowadzi budowy młynów parowych i motorowych, dokonywa przebudówek i powiększania istniejących młynów, współdziała w organizowaniu spółek **rolniczo-młynarskich.**

Dostarcza całe urządzenia młynarskie, oddzielnie maszyny młynarskie krajowe i zagraniczne, jak również silniki dla potrzeb rolnictwa i przemysłu rolnego.

STRZELNICA

POLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

NOWY ŚWIAT 35.

Otwarta codziennie od 11-ej do 2-ej i od 4-ej do 10-ej wieczór.

Gebethner i Wolff

KSIĘGARNIA I SKŁAD NUT

w POZNANIU, ul. Fr. Ratajczaka 36,

polecają najnowsze dwa wydawnictwa z zakresu leśnictwa i łowiectwa:

Dr. Ryszard Biehler Hodowla lasu część druga . . . . . Zł. 6,50

nź. Wiesław Krawczyński Łowiectwo (przewodnik dla leśników zawodowych i amatorów myśliwych) ze 140 ilustracjami . . . . . „ 17.—

Zamówienia z prowincji załatwia się odwrotną pocztą.

R. TORCHALSKI

Warszawa

ul. Trębacka Nr. 7. Telefon 199-19

SKŁAD BRONI, AMUNICJI I PRZYBORÓW MYŚLIWSKICH

POLECA:
BROŃ MYŚLIWSKĄ I KRÓTKĄ RÓŻNYCH KALIBRÓW SYSTE—:— MÓW I FABRYK. —:—

REPARACJA
ZAMIANA
KOMIS

WARSZTATY PUSZKARSKIE NA MIEJSCU (ISTNIEJĄ OD 1840 R.)

Druk. Nakładowa, Warszawa, Hortensja 7. Tel. 216-60.